

KAMELIA GRATER

„MOJA AWANTURA” – OPOWIADANIE

Źródło: <http://werbalnik.xunil.pl>

<http://werbalnik.pl>

Jechaliśmy z mamą i tatą na działkę niedaleko Chełmina. Podróż była długa i wyczerpująca. Przez ostatnie kilkanaście kilometrów trzykrotnie się pytałam, czy aby na pewno jesteśmy już blisko. Nigdy tam nie byłam, gdyż rodzice zakupili nieruchomość kilka tygodni wcześniej i sami odwiedzili to miejsce tylko dwa razy – przy oglądaniu i przy zakupie.

Nagle moje zmęczone oczy ujrzały wyjątkowy widok. To małe pagórek, a na nim drewniany, piętrowy domek ze strychem. „To jest mansarda!” – krzyknęłam. Inni się tylko spojrzeli na mnie. Gryms i okiennice mi się podobały, fronton był oryginalny, ale zadawałam sobie pytanie: „Skoro to niepruski mur, to jak to coś przetrwało niejedną burzę?”. Obawiałabym się być tutaj sama w czasie takiej pogody. Po wejściu od razu rozległo się skrzypienie podłogi. Belkowania zabierały trochę miejsca, ale i tak było go sporo, jak na taki mały dom. Szybko obejrzelśmy z Miksiem – moim pieskiem wszystkie pomieszczenia.



Wszędzie panował zapach drzew. Nie trzeba stosować żadnych odświeżaczy powietrza – pomyślałam. Po chwili rodzice pokazali mi mój pokoik. Od razu rzucił mi się w oczy stary stolik, krzesło i obraz na ścianie. Ukazywał on brązowego konia o smutnym spojrzeniu. Usiadłam przy stole i wpatrywałam się w krajobraz widoczny przez małe okienko. Wszędzie widziałam zielen, którą oświetlało słoneczne światło. Zamyśliłam się, gdyż naszło mnie wspomnienie ubiegłego lata. Prędko jednak powróciłam do siebie i zostawiając plecak, wyszłam i udałam się do kuchni, w której to roiło się od antycznych mebli i dawnego osprzętu.

Mama była zafascynowana domem. Nie mogła się doczekać wędkowania w pobliskim stawie. Niedługo po rozpakowaniu się i rozdaniu nam bułek na drugie śniadanie, poszli nad wodę, ja zaś zostałam, zapaliłam jedną ze świeczek znajdujących się w szafce kuchennej i wpatrywałam się w płomyk. Był środek dnia, ale zaciekawiło mnie to, jak niegdyś żyli ludzie. Nie było elektryczności, toteż i w tym domu brakowało takiej instalacji.

Bułki – jedna z wędliną i kiełkami rzodkiewki, druga z żółtym serem i suszonym pomidorem – smakowały mi jak nigdy wcześniej. Taką samą radość dała mi strucla. Być może sprawił to tamtejszy klimat, a może po prostu przemęczenie jazdą samochodem. Herba z pojemnika utrzymującego ciepło

również miała jakby bardziej wyrazisty smak. Piłam powoli, choć nie była ona już gorąca, a jedynie ciepła. Delektowałam się z zewsząd przybywającą do mnie wonią i – co dziwniejsze – napojem, który przecież znałam od lat.

Mijały godziny, a ja już zdążyłam ogarnąć kuchnię i swoją izdebkę. Z niepokojem oczekiwałam ich powrotu. Nasłuchiwałam ich kroków, ale niczego konkretnego się nie dosłuchałam. Od czasu do czasu słyszałam psiaka, ale nie rodziców. Świeczka rozświetlała kuchnię, a ja czytałam przy niej „To” Stephena Kinga. Potem przerwałam lekturę i zajęłam się rozwiązywaniem zadań matematycznych – tak dla przypomnienia materiału. Jednakowoż wzrok zaczął mi robić psikusy, ponieważ liczby zaczęły się poruszać, tańczyć i nie chciały powrócić na swoje pozycje. Dałam za wygraną.

Obudził mnie śpiew ptaszyn. Noc przespałam na krześle, oparta na stole przy palącej się świeczce. Ta już zgasła, a ja – nieco zmarznięta – wstałam, by pójść do pokoju rodziców i się z nimi przywitać. Weszłam do większego pomieszczenia, w którym to powinni się rozgościć i usnąć, ale łóżko było pościelone, a na nim leżał tylko skulony pupil. Od razu podniósł główkę i po chwili był już przy mnie. Cóż – stwierdziłam głośno – nie wrócili. Musieli zatrzymać się w innym miejscu – przyszło mi na myśl. O tyle było to dla mnie dziwne, że nigdy nie zostawiali mnie samej. Zapowiadali burzę, więc pewnie ją przespałam, a oni utknęli gdzieś na moment i pewnie niebawem przejdą przez próg tego domku – optymizm mnie nie opuszczał.

Z przywiezionych produktów zrobiłam sobie śniadanie i poczęstowałam Miksia. Zdawał się bardzo głodny, przeto otrzymał dokładkę. Jadł łapczywie, aż do ostatniego okruszka. Może otoczenie dobrze wpływa i na jego apetyt? – żartowałam sobie, mówiąc pod nosem. Wolałam oddalać od siebie czarne wizje i trzymałam się codziennego planu zajęć. Ciężko było, ponieważ toaleta była na zewnątrz, a w łazience nie było wanny, a jedynie duża miednica i brakowało lustra. Nigdzie nie mogłam znaleźć takiej ilości wody, więc wybrałam się w okolice budynku. Może gdzieś tutaj też jest jakiś staw, tyle że mniejszy? – pocieszałam się z niebywałym zawzięciem. Nigdzie w pobliżu go nie było, ale znalazłam mały strumyk. Odpoczęłam przy nim, a później wróciłam po miskę i napełniłam ją wodą ze strumienia. Ciężko było mi z nią wracać, ale dałam radę i po chwili mogłam się myć, choć nie powiem, by ciecz ta była ciepła (prędzej określiłabym ją jako letnią). Pomyśleć, iż nawet w lipcu zdarzają się chłodniejsze noce. Na szczęście miałam swoje mydło, ręcznik, a nawet szampon i żel pod prysznic, choć tutaj

o takich dobrach techniki jak natrysk można tylko pomarzyć.

Z nudów wyjęłam swój pamiętnik i w nim zapisywałam ostatnie dzieje. Opisywałam przejażdżkę autem i pierwsze wrażenia dotyczące działki, którą w sporej części otacza las, a z cywilizacją łączy jedynie droga. To punkt na mapie Polski, w którym nie ma zasięgu, więc nie można było zadzwonić do moich wspaniałych rodziców i ich zapytać, gdzie teraz przebywają i kiedy zawitają. Może koło zalewu? Coś o nim wspominali. Może teraz zażywają w nim kąpiele, a ja męczę się tutaj? – w trakcie rozmyślań zaczęła mnie opuszczać pogoda ducha – A co jeśli się utopili? Wystarczył najmniejszy skurcz jednego, by drugie interweniując, straciło z pierwszym życie. Nie, to nie może być prawda. Jeśli nie wrócą do obiadu, to po obiedzie się przejdę w stronę stawu. To dwa kilometry, ale czego się nie robi z troski o najbliższych?

Po drugim śniadaniu, które zrobiłam z lekkiego pieczywa, jakie mama zabrała ze sobą, i gotowego pasztetu kupionego przez ojca w opakowaniu, udałam się na powolny spacer po okolicy. Wędrowałam sobie ze spokojem i plecakiem (w nim miałam termos i jabłko oraz karmę dla psa, którą wypakowała mama, nim wybyła z tatą), którego trzymałam się jak rzep psiego ogona, a czworonóg nie odstępował mnie na krok. Był już nieco głodny, ale zależało mi, aby najpierw napił się wody ze strumyka. Gdy się już napił, zjadł nieco suchej karmy z mojej ręki, po czym umyłam dłonie i udaliśmy się dalej w celu zwiedzania nowych obszarów. Doszliśmy do lasu i wolałam nie zagłębiać się w nim, więc obraliśmy powrotną drogę. Ponownie usiadłam przy strumyku i zjadłam jabłko, a później napiłam się, tylko szkoda, że już zimnej, herbaty kupionej kilka dni temu w sklepie. Musiałam ją dzisiaj wypić, inaczej pozwoliłabym na jej zmarnowanie, a dziadkowie wiele razy mi powtarzali, bym szanowała każdy napój i posiłek, gdyż wielu jeszcze na naszym globie umiera z głodu. Oczywiście – jak zawsze – starsi przesadzają, ale jeśli coś jest dobre, to lepiej to zjeść niż wyrzucić do kosza.

Po odpoczynku przepłukałam naczynie z termoizolacją i nalałam do niego wody. Pozbierałam też kilka długich gałązek. Ruszyliśmy dalej, aż dotarliśmy do domku. Tam wyjęłam ze stosu jedno drewno i położyłam do piecyka. Trzeba przyznać, iż sąg ten był niemały. Wzięłam zapalniczki, których nad kominkiem było sporo, i jedną z nich zapaliłam gałązkę, którą chwilę wcześniej położyłam przy reszcie gałązek. Niedługo potem ogień rozprzestrzenił się tak, że płonęło i drewno. Spoglądałam na

to przez dłuższą chwilę i znalazłam tę przyjemność delectowania się spoglądaniem w ogień, a później wzięłam naczynie, w którym podgrzewa się wodę i zagotowałam ją dzięki temu, co dał człowiekowi Prometeusz. Wyjęłam paczkę herbatki z torby ojca i wrzuciłam trzy torebki do naczynia. Poczekalam kilka minut i wyjęłam je drewnianą łyżką. Z trudem przelałam przygotowaną ciecz do czystego pojemnika. Żałowałam, że nie mogę znaleźć cukru, ale dotąd słodziłam niewiele, więc nie rozpaczałam.

Zaczęłam myśleć o obiedzie. Przypomniałam sobie, że mama pakowała torebki ryżu, więc poszukałam opakowań w jej plecaku. Okazało się, że zabrała też słoiki z dżemem, słoiki z przecierem pomidorowym, ze sosem do ryżu i wiele innych. Faktycznie, nie ma się co dziwić, skoro chciała tu spędzić z rodziną cały miesiąc. Znalazłam i puszkę dla psa. „Jak ja kocham mamę, ona zawsze myśli o wszystkim” – z łatwością przeszło mi to przez usta. Miks spojrział na mnie, przychylając głowę, jakby zaciekawiony tym, że się odezwałam. Widocznie brakowało mu mojego głosu, toteż stwierdziłam, iż zacznę częściej do niego przemawiać. Nieistotne czy czworonożny kumpel jest w stanie zrozumieć istotę ludzką, czy też nie pojmuje znaczenia wymawianych przez nią słów. Może wystarczy mu ton mowy, by wiedzieć, co mam do powiedzenia?

- To mamy wyżerkę – rzekłam głośno do niego i biorąc ryż oraz puszkę, zachęcałam – Chodźmy do kuchni. Chodź.

Wzięłam nie cebryk, ale kocioł i poszłam z nim nad wodę. Stamtąd pobrałam niezbędny płyn do życia i wróciwszy, przelałam go do mniejszego naczynia. Pomyślałam, że bednarz tu nie byłby potrzebny, jako że drewnianych naczyń jest bez liku. Zagotowałam wodę i włożyłam folię z ryżem. Korzec na razie był zbędny, ale przecież go nie wyrzucę, nie wiem przecież, czemu rodzice tego jeszcze nie zrobili. Namoczyłam ziarna we wrzątku, a później wyjęłam, zagotowałam wodę i ponownie zanurzyłam torebkę. Zrobiłam tak jeszcze dwa razy, aż ryż doszedł. Psisko dostało ode mnie trzy łyżki puszczonek, na szczęście już wcześniej zauważyłam jego miski w szafeczce pod oknem. Ja zaś zboże polałam sosem, który był w małym słoiczku. To na pewno był sos pomidorowo-paprykowy. Obiad mi smakował, a to zapewne dlatego, że wykonałam go sama i w trudnych warunkach.

W końcu doszukałam się szczoteczki i pasty do zębów. Wszystkie te rzeczy miał mój ojciec, ponieważ to w kieszonce jego torby je odnalazłam. Umyłam je z rozkoszą nad strumykiem. Napełniłam

wodą również drugi duży sagan, by mieć wodę w pobliżu. Droga po H₂O była uciążliwa, zajmowała aż 5-10 minut, więc wolałam chodzić rzadziej. Kto miałby bowiem przygotować ciepłą kolację rodzicom, jeśli nie ja? Od progu piesek domagał się ode mnie trochę ryżu, na szczęście zostawiłam mu łychę (bez sosu) i uradowany błyskawicznie opróżnił miskę. Potem położył pysk na moim kolanie i machając ogonem, o coś mnie prosił. Gdy wstałam, gwałtownie się poruszył i za moment był przy drzwiach. Udałam się ku niemu, a on skrobał już w drzwi wyjściowe. Pewnie chcesz wyjść na zewnątrz? – zadałam mu pytanie, a on zaczął skomleć. Po raz pierwszy, od przyjazdu tutaj, użyłam smyczy, by wyprowadzić psinkę. Choć pupil jeszcze nie wiedział, miał ze mną poszukać swoich zaginionych właścicieli. Przed samym wyjściem wzięłam jeszcze z mamy plecaka banana i jabłko, w końcu to bardziej przypomina deser niż chleb.

Wybraliśmy się drogą, którą mieli podążać, czyli uliczką łączącą dawny świat z tym, co nowoczesne. Na wszelki wypadek wzięłam telefon komórkowy, który uprzednio wyłączyłam, by zaoszczędzić energię. Miałam nadzieję, że gdzieś odnajdą się dwa sprzęty – mój aparat telefoniczny ze stacją bazową. Idąc przed siebie, widziałam piękne widoki. „Jak tu byłoby miło wybudować dom jednorodzinny” – odezwał się do mojego kompana. To jednak nie byłby dobry pomysł, jako że brak zasięgu i brak internetu byłyby dla mnie nie do zniesienia. Jak ja żałowałam wtedy, że nie wzięłam w podróż aparatu fotograficznego. Telefon od kilku dni miał uszkodzone szkiełko, więc nie było sensu próbować uwiecznić nim ten pejzaż. Wyciągałam go z kieszeni tylko po to, aby zobaczyć poziom i naładowania, i zasięgu. O ile bateria nie była jeszcze moim zmartwieniem, o tyle martwił mnie zerowy kontakt z techniką.

Po trzydziestu minutach szybkiego marszu zobaczyłam, że w oddali jest staw, a koło niego większy dom, chociaż też drewniany. Może tam się zatrzymali? Jak myślisz? – pytałam towarzysza, ale ten odpowiedział warczeniem. Wiesz, że to niegrzecznie jest tak warczeć? – szepnęłam pytająco i z uśmiechem na twarzy. Nic sobie z tego nie robił, bo nadal zachowywał się grzesznie. Cóż, od psiaka nikt nie wymaga poloru, więc nie mam się czym przejmować. Poszliśmy dalej. Wnet poczułam uderzenie i straciłam przytomność.

Nie wiem, jak długo leżałam, gdy jednak się wybudziłam, wciąż świeciło słońce. Usiadłam na trawie, tuż obok ulicy, i zjadłam banana. Skórkę zakopałam w ziemi, gdyż – jak uczyła mnie babcia –

jest to sama ekologia. Po tym zorientowałam się, że nigdzie nie ma mojego psa. Przecież był ze mną! – krzyknęłam głośno, przypominając sobie, co właściwie tutaj robię. Wstałam i postanowiłam wreszcie przybyć nad staw, a dopiero później poszukać kundelka, ale... znowuż się uderzyłam. O co? Nie mam zielonego pojęcia. Niczego nie widziałam, a jednak nie mogłam pójść dalej. Tak, jakby coś miękkiego i symultanicznie bezbarwnego przeszkadzało mi przejść. Pojawiła się konsternacja. Kiedy to naciskałam nagle i mocniej, stawało się twardsze i bardziej mnie bolało, ale gdy ledwo musnęłam, to coś okazywało się bardzo miękkie. Zagłębiając się ręką, oczywiście stopniowo i łagodnie, przekonywałam się, że to znowu jest nieprzyjemne niczym kamień. „Może to miraż albo sen?” – podtrzymywałam się na duchu. Nie rozumiałam tego, postanowiłam więc udać się kilka kroków w bok i tam spróbować, lecz spotkałam się z tym samym zjawiskiem. Zafascynowana tym poszłam w las i po paru minutach marszu ponownie podjęłam się wyzwania, niemniej jednak bez zamierzonego efektu. Nie pojmowałam, co to za substancja zabrania mi iść do mojej rodziny i zaczynałam się denerwować. Przeszkodę skojarzyłam z głośnikową membraną i z moim ciotecznym bratem, który wciąż zbiera na kolejny komplet muzycznego sprzętu. Nie wyglądało to na fantasmagorię. Jakże bym chciała, aby to jednak był omam! „A może to jednak sen? Może mam się uszczypnąć?” – wymruczałam, ale na moje nieszczęście uszczypnięcie się w policzek zabolowało. Bliska paniki wyszłam z lasu i usiadłam na ulicy. „O nie! Nie!! Nie!!!” – płakałam, a ja jedyne co mogłam zrobić, to wytrzeć każdą spadającą po policzkach łzę – mając za nic uprzednio wyrobione pozytywne nawyki – w ciuch. „Czy może być coś gorszego niż tu tkwić samemu?” – zadawałam komuś pytanie, tylko jeszcze nie wiedziałam komu. Po chwili zaczęłam pytać Boga, zwracając się ku niebiosom: „Dlaczego? Dlaczego?! Co ja takiego złego zrobiłam?”.

Po pewnym czasie uspokoiłam się i czekałam, aż coś nadjedzie z tamtej strony, z tej strony, do której nie jest mi dane iść. Oczekiwałam przełomu, ale na nic się to zdało, bo niczego nie widziałam. Za to słońce zaczynało przygotowywać się do zachodu, w związku z tym byłam zmuszona powrócić do domku i przy okazji poszukać zaginionego ulubieńca. Moja дума (w sensie sterty myśli) ciągle krążyła wokół rozwiązania problemu, jednak nic konkretnego nie przychodziło mi do głowy. Melancholijnie podążałam drogą powrotną, aczkolwiek zdążyłam uniknąć miesięcznika.

Najlepszy przyjaciel człowieka nigdy go nie opuści; Miksiak czatował przy drzwiach. Razem weszliśmy do środka. Załamana położyłam się na łóżku w pokoju, który był przeznaczony dla

rodziców, i na nowo poddałam się łkaniu. Zaraz zaczął mnie druh „męczyć” swoją „śnupą”, ale przez dłuższy czas nie udawało mu się mnie pocieszyć. W końcu jednak przestałam płakać, przytuliłam towarzysza, wstałam i poszłam do kuchni po świecznik i białą świeczkę. Zaświeciłam ją, po czym wyjęłam drewno, wzięłam też dwa patyki, które zostały ze zbieraniny i rozpaliłam to, co pochodzi z drzew. Gdy ogień pochłaniał to, co stawało mu na przeszkodzie, wyjęłam paczkę popcornu i się nią objadałam. Po jej zjedzeniu wyjęłam z plecaka jabłko i równie szybko je pochłonęłam, a ogryzek wyrzuciłam przez okno. Psiakowi dałam trzy łyżki mokrego pożywienia i jedną suchego, a do tego miskę wody. Sama również wypijałam połowę ciepłego picia z termosu i trochę samej wody. Po umyciu zębów nie miałam ochoty na zagłądanie do dziennika ani też na czytanie czy rozrywkę z cyferkami. Po prostu położyłam się do łóżka, a psiak – koło mnie. I tak usnęliśmy tamtego wieczoru.

Obudziłam się wcześniej rano, niedługo po wschodzie słońca. Ospała udałam się z miednicą do ruczaju, nie zamierzałam pędzić na złamanie karku, a tę wodę, którą przyniosłam, podgrzałam na trzy raty i wreszcie umyłam się w ciepłej wodzie. Jakież to było zachwycające uczucie! Wcześniej nie przyszło mi na myśl, że można się cieszyć z miski z ciepłą wodą. Najwyraźniej ludzie nie doceniają podstawowych rzeczy, a szukają większych, które w istocie mają dla nich mniejsze znaczenie. Szkoda tylko, że przekonują się o tym, dopiero kiedy przychodzi im się zmierzyć z ich stratą. Tak było w moim przypadku i wtedy poczułam wielkie rozczarowanie własną osobą. Jakże musiałam być niewdzięczna za to, co mi dano? Korciło mnie szukanie fortelu, lecz to była matnia. „To mój pohybel!” – stwierdziłam i postanowiłam żyć tak, jakby to były ostatnie moje dni, choć obiecałam sobie, iż będę czyniła wiele, iżby przeżyć kolejne, choćby to było tylko kilka uciążliwych dni. W końcu byłam odpowiedzialna nie tylko za siebie, ale i inną istotę żywą. Nie miała ona metryki, rodowodu rasowego zwierzęcia, ale to był wspaniały kompan i jedyny, jaki mi pozostał w obcej i groźnej dla mnie sytuacji. Z pewnością i dla niego nie były to dni powszechne. Przeniósł się w nieznaną mu lokalizację, był zdany wyłącznie na mnie – na dziecko, zatem to nieciekawe położenie dotyczyło i jego. Dotąd lubił brykać, a teraz jakby wyczuwał, że jego żywot uległ zmianie.

Podarowałam psiakowi całą puszkę pasztetu i nalałam wody do miski. Sama na śniadanie zjadłam pięć kromek lekkiego pieczywa. Jedno było z dżemem kiwi, dwa posmarowałam owocem o wdzięcznej nazwie „awokado”, a ostatnie dwa zjadłam z kiełkami rzodkiewki. Przypomniałam sobie, że za domem był ogród, do którego jeszcze nie zajrzałam, ponieważ moje myśli krążyły wokół czegoś

innego. Poszłam tam, jednakże bez psiaka, mógłby poniszczyć tamtejszą roślinność. Ogrodzone miejsce okazało się ciekawe. Najprawdopodobniej właściciel jeszcze przed sprzedażą zasadził tutaj warzywa. Rozpoznałam liście sałaty, marchewki i ziemniaka. Poza tym na jego terenie rosła młoda jabłoń i małe drzewko, z którego to zrywa się czereśnie. To był raj dla moich oczu. Niekoniecznie jednak byłby nim dla mojego czworonoga. Dla niego jednak zaopatrzenia było dużo, mogło starczyć na długo, dla mnie zaś na znacznie krócej. Mimo że miałam pokarm rodziców, to wiedziałam, że niektóre produkty nie zdołam zjeść przed ich zepsuciem. Aby nie pluć sobie w twarz, wolałam zrobić wszystko, co się da i nie zmarnować tego, co przywieźliśmy. W jednym miejscu zebrałam pożywienie, które może najszybciej ulec zmarnowaniu. Do nich należał otwarty słoik z dżemem, banany, jabłka, awokado, kiełki rzodkiewki i brokuła oraz kilkadziesiąt mandarynek. Znalazłam też suszone dary natury: banany, jabłka i papryczki chilli. Poza tym mój wzrok zatrzymał się na pięciu paczkach rodzynek. Czy ktoś w naszej rodzinie za nimi przepada? Tak, lubi je szczególnie ojciec, a ja mam to po nim. Do tego spakowali jeszcze mieszankę orzechów, za którą bardzo przepadam. Najlepiej lubię jeść orzechy nerkowca z migdałami.

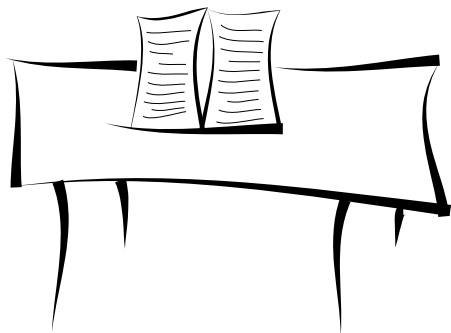
Po tym, jak podzieliłam żywność na trzy etapy (najszybciej się psująca, psująca się – wg daty ważności – w przeciągu najbliższego pół roku, psująca się po tej dacie) wypiliśmy do końca herbatę i napiłam się jeszcze zwykłą wodą. Po tym nieco odpoczęłam, umyłam jamę ustną i wyszłam z Miksem. Przechadzka nie trwała długo, gdyż niebo się zachmurzyło i trzeba było wracać. Jednakże chmury średnie nie przeszkodziły mi nabrać trochę wody do naczynia i wrócić z suchą głową po miednicę, aby wystawić ją poza dom. Zrobiłam to z myślą o następnym ranku i o codziennym zabiegu higienicznym. Po kilku chwilach zaczął padać deszcz i było jeszcze ciemniej, a po godzinie – mimo że już nie padało – było zimniej niż wcześniej. Założyłam sweterek i okryłam ręcznikiem taty pieska, który zwinął się pod kuchennym stołem w kłębek. Wówczas to pomyślałam, iż czas najwyższy zacząć pracować. Kiedyś skończą się czyste ubrania, więc nie ominie mnie ta „przyjemność”. Postanowiłam rozpocząć tę czynność jutro i pracować raz w tygodniu. Na moje szczęście rodzice wzięli ze sobą wiele mydeł, nie wiedziałam tylko czy wszystkie wyjęli z samochodu. Auto było nieopodal domu, ale nie miałam do niego kluczyków.

Po rozmyślaniach w półmroku znalazłam świeczkę i włożyłam ją do glinianego świecznika. Zastanawiałam się jednak, czy ją marnować. Jednakowoż było ich wiele, więc postanowiłam jeszcze

nie oszczędzać. W dodatku niedługo po tym znalazłam w górnej szafeczce, do której przystawiłam krzesło, naczynia z gliny. „I garncarz jest tu niepotrzebny” – wypowiedziałam te słowa z uśmiechem do pieska. Obok tej szafki była druga, a w niej różne pojemniki. Pierwsze z brzegu zawierało ziarna rzeżuchy. W innych nie sprawdzałam, czy coś się znajduje, nie miałam na to siły. Po prostu wzięłam gliniane, muszę przyznać, że dość płaskie naczynie, oraz drewnianą chochlę, po czym podążyłam na zewnątrz. Rzecz jasna pies chętnie mi towarzyszył, toteż bez problemu wyszedł ze mną. Na dworze kropiło, ale oberwanie chmury stało się już przeszłością. Nabrałam trochę ziemi i wróciłam do kuchni. Zasadziłam w niej pieprzycę siewną, acz już nie podlewałam, ponieważ ziemia nieźle zmokła. Postawiłam to na drewnianym blacie, na którym przyrządza się posiłki.

Na drugie śniadanie spałaszowałam kilka kromek pieczywa lekkiego. Wszystkie posmarowałam awokado i na cztery z nich nałożyłam dżem, a na dwa pokrojonego banana, i to na niego posypałam kielki rzodkiewki. Do tego dojadłam resztę owocu i skosztowałam mandarynki oraz jabłko. Mój poczciwy znajomy otrzymał ode mnie kabanosy z podróży, a kilka zostawiłam dla siebie na obiad. Musiałam zadbać o najbliższą przyszłość, nikt w tym nie mógł mnie wyręczyć.

Wyjęłam książkę i zajęłam się czytaniem. Dzięki temu mogłam przechadzać się ulicami miasta i przebywać wśród ludzi. Ponownie przeżywałam zwyczajne problemy osób cywilizowanych, którym wydawały się bardzo istotne i ogromne. Widocznie wcześniej nie musiały mierzyć się z sytuacją podobną do mojej. „Ich szczęście, a mój pech” – stwierdziłam głośno, a psina poderwała się gwałtownie, jakby bomba miała zaraz zlecieć na naszą chałupę. Zamknęłam i schowałam książkę, a zajęłam się Miksiem. Zabawa trwała długo, dawno jednak tak dobrze się nie bawiłam. Obiecałam mu, iż w najbliższych dniach, gdy wyjdę z nim i trawa wyschnie po deszczu, porzucam patykiem, by miał trochę rozrywki. Czworonóg lubi być w ruchu, w związku z tym nie martwię się, czy będzie chciał za nim pobiegać.



Jemu również doskwierała samotność; żadnego tu podobnego do niego stworzenia, którym mógłby się na dłużej zainteresować. Tęsknica też dawała nam we znaki. Brakowało mu pani i pana, czyli moich rodziców. Cóż bym dała, aby ich raz jeszcze zobaczyć i powiedzieć: „Kocham Was”?

Wszystko! Niestety, na razie było to niemożliwe. Musiałam liczyć tylko na siebie. Nikt nie przyjechał po mnie, pewnie dlatego, że nie mógł. Nie wyobrażałam sobie, iżby zamierzali mnie tu zostawić na dłużej. Żeby tego chcieć, trzeba byłoby przestać być opiekunem swojego dziecka. Ot tak z dnia na dzień nie podejmuje się takich decyzji. Czy mogliby to zaplanować? Nie, nie moi kochani rodziciele. Dbali o mnie od kołyski i dla kaprysu nie pozbyliby się swojej pociechy. Przecież zawsze się o mnie troszczyli. Bywało nawet, że przejmowali się mną przesadnie, ale nigdy nie byli wobec mnie obojętni. Poza tym nie stworzyli membrany, nie umieliby tego uczynić. Kto mógł stworzyć taką otoczkę przed resztą świata? Czy to Bóg? A może natura? Po co ona jest? Czemu ma ona służyć? Tego nie wiem do dziś, mogę tylko domniemywać.

Zacząło się przejaśniać, w następstwie tego zgasłam świeczkę. Na obiad dałam psu kawałek kielbasy wędzonej, sobie zaś przyrządziłam kluski, które tylko dwa razy zalewałam wrzątkiem i mieszałam je z łyżeczką awokado, dżemu i bananem. A na drugie danie – tak, obiad zrobiłam z dwóch – zjadłam kabanosy z łyżeczką musztardy. Szkoda mi było otwierać opakowanie, ale jako że są maleńkie, to nic się nie zmarnuje. „Obawiam się wyłącznie tego, że nie uda mi się zjeść reszty dżemu ze słoika i – przecież bez lodówki – ulegnie on zepsuciu” – wyznałam towarzyskiemu żyjątku. Żałowałam nawet, że nie ma zimy. Jednak przypomniałam sobie, że dalej od strumyka widziałam studnię (na oko miała około 35 metrów głębokości), a przecież w kącie kuchni jest wiadro. Oczywiście moje szacunki mogą znacznie się mylić, a więc należy je brać z pewną rezerwą.

- Gdyby nawet nie było tam wiaderka, a kojarzę, że je widziałam, to mam zastępcze i mogę linę wziąć ze strychu, którą ponoć widział ojciec. Taka woda jest zimniejsza i chłodziłaby otwarte już przeze mnie przetwory, które umieściłabym w dwóch wiaderkach – zadowolona kontynuowałam rozważania, mówiąc do druha – Liny pomogą mi wyciągać wiaderka. Ta mojej konstrukcji musi być mocna, żeby nie uległa szybkiemu przetarciu prowadzącemu do zerwania – rzekłam do psiaka i dodałam – Idę po nią.

Sznur był średniej grubości, ale za to bardzo długi, więc pocięłam go na kilka kawałków, wszystkie mierzyły po tyle samo, czyli ok. 40 metrów. Wzięłam trzy z nich i zrobiłam warkocz, a na końcu zostawiłam, w przybliżeniu, pięć metrów luzu, by później zawiązać nimi kabłąk. Byłam rozradowana tym, że studnia kiedyś przeszła remont i jest bardziej nowoczesna niż tu wszystko wokół niej. Automatyczność dawała mi szansę na przeżycie. I ponoć woda taka smakuje lepiej niż miejska

z kranu. Z pewnością ma odpowiedniejsze dla człowieka pH.

Wzięłam kubek do ręki, włożyłam do niego otwarty słoik, linkę zaś ciągnęłam po ziemi i udałam się za strumień. Nie padał już deszcz, niektóre chmury przepuszczały promienie, wskutek tego nie było tak źle, jak się obawiałam. Przed szybem umocowałam linkę, zawiązałam jej jeden koniec do pałąka oraz przerzuciłam przez zaokrągloną belkę i spuściłam wiaderko. Drugie zakończenie, jeszcze wcześniej, przytwierdziłam na stałe na górze, by czasem go nie utracić. I tak oto miałam na dole dwa wiaderka, nowe ledwo dotykało zimnej wody. Gdybym chciała więcej je zanurzyć, wtedy bym wydobyla wiaderko na zewnątrz, odwiązała je i zawiązała jeszcze niżej sznura. Zrobię tak pewnie, kiedy przyjdą upały. Kanikuły to piękny okres, ale i też rozleniwiający. Dlatego zdawałam sobie sprawę, iż przy pierwszym cieplejszym, bezchmurnym dniu przyjdzie mi poprawić tę konstrukcję. Poza tym w wiaderkach jeszcze nie ma przetworów, pomijając dżem. Wierzyłam, że tak przechowywane otwarte produkty będą dłużej mi służyły. „Z drugiej strony, skoro nie będę zbyt wiele otwierać pożywienia na jeden raz, drugie wiaderko może mi posłużyć do nabierania wody” – wyszeptalam do siebie, zacierając ręce z zadowolenia. Wyciągnęłam to stare, minęło trochę czasu, nim mi się to udało, a następnym moim krokiem było pozbycie się z niego nieco wody, gdyż przelałam ją do nowego wiadra. Pozostałą wodę wykorzystałam do napicia się. Jakże ona była dobra. Dawno takiej nie smakowałam. Ta ze strugi również była wyśmienita, jednakże wyczuwałam różnicę. „Dobrze zrobiłam z przelaniem wody do drugiego wiaderka” – rzekłam do psinki. Dlaczego tak postąpiłam? Pomyślałam bowiem, że wtedy nie muszę się tak przejmować niespodziewanym nadejściem wysokiej temperatury powietrza i spokojnie się zajmę ratowaniem przetworów, a nie zabawą ze sznurkiem.

Powróciwszy do domku, zaczęłam rozwiązywać zadania matematyczne. Miałam ze sobą nieco matematyki, podręcznik z języka ojczystego i trzy lektury oraz dwa słowniki, a do tego atlas przyrodniczy. Nie brakowało mi zeszytów i pustych kartek. A i w piórniku roiło się od długopisów, ołówków, mazaków. Były trzy gumki, dwie temperówki i dwie linijki, kątomierz i ekierka, a nawet jeden cyrkiel. Na razie nuda mi nie groziła. Życie w takim miejscu wymagało ode mnie wiele pracy i sporej wyobraźni, a do tego niezłomnej cierpliwości.

Gdy brałam ze strychu linkę, zauważyłam tam kosz wykonany z papierowej wikliny i obok jakieś pudło. Od razu przypomniał mi się czas wielkanocny, acz to był koszyk o wysokości około

metra, więc od początku miał mi posłużyć do gromadzenia brudnych ubrań. Gdy go wreszcie wzięłam w dłonie, ze zdziwieniem stwierdziłam, że tam są jeszcze cztery, z tą jednak różnicą, że każdy był mniejszy od kolejnego. A we wspomnianym pudle była pszenica, co mnie bardzo zaskoczyło. Wyniosłam to ze strychu i poszłam do pomieszczenia, które przylegało do łazienki. Tam było tylko drewniane biurko, krzesło i świeczka, którą dawno nikt nie zapalił oraz bujak, który wyglądał jak fotel na biegunach. Nie mogłam się powstrzymać od pobujania się na nim, ale wokół zalegał kurz, dlatego też – tak sędzę – zaczęłam się dusić i szybko zrezygnowałam z tej przyjemności, pozostawiając na tym ruchomym krześle, wielkością przypominającym ulubione siedzenie mojej ciotki, pakę z pszenicą.

Powróciłam do zajęć domowych, czyli kolejno wyciągałam kosze. Największy miał mi posłużyć do gromadzenia ubrudzonego odzienia, drugi zaś do mokrych po praniu, by je przemieścić do suszarni, w której bym zajęła się rozwieszaniem. Tak, dokładnie z łazienki przechodziło się do pomieszczenia, w którym wisiły linki do suszenia. Znajdowały się tam i suszone grzyby, i sukmana, i ściereczki różnych rozmiarów. Nie było tam nadzwyczaj ciepło, ale trzeba dodać, że pomieszczenie to sąsiadowało z używanym przeze mnie piecem, więc jeśli ktoś ciągle w nim grzał, to czuło się tę falę gorąca tak, jakby się siedziało w kuchni. Zimna nie szło uświadczyć też w łazience i przedpokoju. Nieco chłodniej bywało w pokojach, ale – przynajmniej latem – dawało się wytrzymać. Obawiałam się zimy, ale była ona dla mnie odległą rzeczywistością. „Czy dotrwamy do zimy?” – zadałam pytanie psiakowi, który ochoczo obwąchiwał kosze. Nie zwrócił uwagi na moją mowę, więc zaczęłam rozmyślać, do czego użyję inne koszyki. „Najmniejszy posłuży mi do noszenia pożywienia z blatu na stół. W trzecim – przyjdzie mi gromadzić suche ścierki, które będę używała do przenoszenia nagrzanych naczyń, a w czwartym – suchutkie ścierki do kurzu i podłogi, które będę prała i rozwieszała, a suche ponownie wkładała na swoje miejsce” – decydowałam w myślach – „Piąty kosz, ponieważ jako jedyny posiada z jednej i drugiej strony ucho, ma być stosowany do przenoszenia cięższych rzeczy, np. otwartych przetworów do studni”.

Kiedy już rozmieściłam w odpowiednich miejscach koszyki, usłyszałam psie szczekanie oraz dziwny dźwięk. Przypominał mi on odgłos kury, ale przecież rzadko bywałam na wsi, więc nie byłam obeznana w rozpoznawaniu zwierząt jak typowy rolnik. Spojrzałam przez okno, ale nic nie widziałam, więc wyszłam z domu. Chciałam go już obejść, gdy przyszedł mi do głowy pomysł, by ujrzeć ogródek. Chciałam zobaczyć, jak tam się mają marchewki, ziemniaki i inne warzywa. Oczywiście tam

dostrzegłam chodzącą z mokłą kurę. Chyba żywiła się dżdżownicami i innymi robaczkami. Zdziwiłam się, że tu ją spotkałam, widocznie była z wolnego wybiegu i biedaczka zaginęła wśród zieleni. „Cóż, obok suszarki jest małe pomieszczenie, z którego też jest wyjście na zewnątrz, dokładnie na ogródek. Może tam zrobić dla niej miejsce? Jest tam nieco siana, więc będzie miała ciepło. Zamykać drzwi będę tylko przy deszczu” – chciałam to zrobić, acz wahałam się, czy to dobry pomysł. Długo już na ten temat dumałam. „Tylko jak jej nie wystraszyć? Jak ją tam przenieść, kiedy zacznie się zanosić na opady?” – wciąż pytałam samą siebie w myślach i nie otrzymywałam odpowiedzi. Ogarniała mnie chęć pomocy, ale nie umiałam wyzbyć się wątpliwości. „Poza tym piesek może nie być zadowolony z mojej przyjaźni z nieznaną istotą i co wtedy? Teraz jest zamknięty w domku, ale co będzie, jak go na chwilę wypuszczę, a ta będzie sobie radośnie wędrować wśród tutejszej roślinności?” – już wątpiłam, że pomoc temu stworzeniu ma jakikolwiek sens – „Co prawda Miks przestał dawać głos, ale na jak długo? Jak się zachowa? A co jeśli zrani kurę?”

Moje czarnowidztwo było uzasadnione, a mimo to doszłam do wniosku, iż defetyzm jest zbędny. Nie mogłabym niczego zmienić, co miało się stać, tak by się stało. Otworzyłam drzwi psince, a ta od razu przybiegła do gościa i zatrzymawszy się z dwa metry od niego, zaczęła obwąchiwać nosem jego ślady. Przyjaciel człowieka okazał się i przyjaźnie nastawiony do kury. Dlaczego? Zapewne dlatego, że rodzice wzięli go ze wsi, na której wychowywał się przez pierwsze dwa lata. Był więc oswojony z takimi stworzeniami. Sama mniej je znałam, a to z tej przyczyny, iż wśród hodowanych zwierząt bywałam przez miesiąc co drugie lato. Jako gąska obserwowałam wówczas, jak czymś je karmiono, bodajże pszenicą, bynajmniej nie robakami, tych wszak było dosyć na podwórku. „Zaraz, zaraz. Przecież na górze mam pszenicę. Może się przydać” – stwierdziłam, ale zaraz sobie pomyślałam, że może należy oszczędzać. Niech teraz je to, co daje jej natura, a dopiero później rzucę łyżkę jej specjału.

Z ogródka wzięłam sałatę, marchewkę i szuflę wykopałam sporo ziemniaków. Narzędzie podobne do łopaty było koło pieca, więc gdy po nie szłam, zostawiłam psiaczkę z kurą, ale nic się nie stało. Wróciłam też z koszem na przetwory i w niego włożyłam warzywa. „Widocznie wystarczająco go karmię, by nie atakował innych” – doszłam z uśmiechem do wniosku. Pogłaskałam go w nagrodę i zaczęłam pakować żywność. Jedzenie zaraz położyłam w kuchni, by zrobić z nich podwieczorek, a jedynie pyry położyłam do dolnej szafki, koło kosza przeznaczonego przeze mnie na różne

opakowania. Skórki i inne naturalne składniki warzyw czy owoców po prostu zakopywałam. Nie wiedziałam jednak co zrobić z plastikowymi tworami. To był kłopot, który jeszcze nie udało mi się rozwiązać.

Wzięłam z fotela na biegunach pudełko z pszenicą i przeszłam przez łazienkę, suszarkę i dostałam się do przedsionka z sianem. Tam zrobiłam z sianka małe posłanie, po czym otworzyłam drzwiczki i zaczęłam posypywać pszenicę tak, żeby zwabić stworzonko do środka. Zależało mi, by oswoiło się z pomieszczeniem, wtedy by nie mokło w czasie dżdżystych dni. Potem z pudłem udałam się do suszarni i przymknęłam drzwiczki, ale że nic nie słyszałam, lekko je uchyliłam. Niestety, kura nie przychodziła, więc poszłam do kuchni. Umyłam marchewkę, zerwałam kilka listków sałaty, które też obmyłam, obrałam mandarynkę i wraz z jabłkiem wszyściutko zjadłam. W dodatku wyjęłam garść mieszanki orzechów i z rozkoszą delectowałam się tymi frykasami. Miksowi dałam garść suchej karmy. Popiliśmy to wodą, a ja dodatkowo zrobiłam herbacinę i przelałam ją do termosu. Zorientowałam się, że po pierwsze, po jutrzejszym śniadaniu będę musiała przynieść wodę, więc czekało mnie nie tylko pranie, a po wtóre, że muszę znaleźć sposób na zaoszczędzenie torebek herby. „Choć teraz wydaje się ich co niemiara, kiedyś się skończą. A co jeśli nastąpiłoby to zimą? Wtedy zostałabym z niczym smacznym do picia. Co jest w tych magicznych torebeczkach? Owoce albo zioła, czyli rośliny. Cytryny nie mam, za to mam mandarynki. Te jednak też się kiedyś skończą” – gadałam sama do siebie. Sięgając pamięcią do czasów mojego wczesnego dzieciństwa, przypominałam sobie, jak babcia mojej koleżanki zbierała pokrzywy, by użyć ich do płukania włosów i... „A gdzie widziałam tutaj pokrzywy?” – sięgałam pamięcią do ostatnich dni i szybko sobie przypominałam – „Za studnią, blisko lasu. Jest tam jej od groma”. Taka roślina, a już ma dwa zastosowania. Z tym że słyszałam od tej kobiety, iż nie każdy może ją pić dzień w dzień. Można dostać bąbli na dłoniach, zwłaszcza między kciukiem a palcem wskazującym, ergo należy się szczególnie obserwować, zaczynając przygodę z tą roślinką. Postanowiłam jednak, że zaryzykuję. „Jeśli jutro nie będzie padało, udam się trochę jej pozbierać, ale niewiele” – planowałam głośno i mówiłam dalej do pieska – „Spróbuję ususzyć na słońcu, na pobliskim kamieniu. Gałązki przygniotę kamieniami, które są koło drogi, którą przyjechaliśmy. Tam jest ich wiele. Wtedy nic je nie ruszy, nawet wiatr”, ale czteronogi stwór przekrzywił głowę i wpatrywał się we mnie, jakby chciał zrozumieć, co do niego mówię.

Zajęłam się zadaniami matematycznymi, ściślej, ułamkami dziesiętnymi, a później zaświeciłam

świeczkę i po pewnym czasie wpatrywania się w nią skwapliwie rysowałam to, co widziałam przez okno. Nie było już zbyt jasno, ale to ułatwiało mi zadanie. Na kartce za szybą jawiły się niewyraźne obiekty. Przyglądałam się temu, co stworzyłam i marzyłam już nie o tym, by być we własnym pokoju, który znałam od lat, ale żeby chociaż rodzice byli tu ze mną i byśmy wspólnie zajęli się codziennymi czynnościami. Bałam się, że niedługo utracę pamięć, zapomnę o moim dawnym życiu, o tym, jak wyglądają moi najbliżsi, znajomi. Za wszelką cenę zamierzałam zachować wiele wspomnień z nimi związanych, ich barwę głosu oraz to, co lubili. Wyjęłam pamiętnik i spontanicznie zaczęłam w nim pisać. Ogarnął mnie szal zapisywania ostatnich wydarzeń i starałam się przelewać emocje na papier, ale pewnie czyniłam to nieumiejętnie. Wystarczyło jednak by poczuć się lepiej – przynajmniej chwilowo.

Na kolację spożywałam trzy kromki. Pierwszą przygotowałam z rozsmarowanym awokado, drugą zjadłam posmarowaną bananem i z położonymi rodzynkami, a trzecią – z pasztetem z otwartego właśnie opakowania, sałatą i kiełkami z rzodkiewki, których w opakowaniu zostało niewiele. Psiaczek otrzymał ode mnie łyżkę pasztetu i był z tego niezmiernie rad. Wesołość mu nie mijała do końca dnia. Szkoda, że ja nie podzielałam jego entuzjazmu, nie potrafiłam być tak radosna od rana do wieczora.

O brzasku wybudziło mnie szczekanie. Poderwałam się i zobaczyłam, że psiak skrobie w drzwi. Otworzyłam je, a on chciał iść do łazienki. Po co? Cóż, śmiało pomyślałam, iż najwidoczniej to sprawa obecnej kury. „Czyżby u nas nocowała?” – zapytałam psa, ale ten nadal skrobał. Otworzyłam mu drzwi do łazienki, wiedząc o tym, iż pozostałe są zamknięte i wymknęłam się drzwiami wyjściowymi, by obejść domek i zobaczyć, czy kura weszła tylnymi drzwiami. Tak, kura chodziła po sianie, po czym na nim usiadła. Nie chciałam jej przeszkadzać, w związku z tym szybko wróciłam do domu i wzięłam miednicę, aby udać się z nią do potoku i pobrać z niego płynącą ciecz. Domek nie znajdował się bowiem na najwyższym punkcie, ale przykładowo las leżał znacznie niżej, dzięki czemu łatwo było go zobaczyć w oddali. Ciekawe czy ktoś widział ten domek z góry? Komu dane było to obserwować, temuż musiało być równie smutno, chyba że czuwał przy nim ktoś jeszcze.

Po rannej kąpieli nabrałam ze studni sporą ilość wody, gdyż dobrze wiedziałam, że tej nigdy za wiele. Przy okazji w drugim wiaderku pozostawiłam otwarte opakowanie pasztetu – włożyłam go wcześniej w folię, w której była jedna ze zjedzonych bułek – i opakowanie kiełek brokuła. Wyjęłam

zaś słoik z dżemem, który postanowiłam dokończyć. I tak też zrobiłam.

Śniadanie składało się z ugotowanej garści ryżu, który zmieszałam z dżemem. Psu otworzyłam puszkę karmy i dałam mu do miski dwie łyżki. Wylizał wszystko. Ja tak poprzedniego lata traktowałam naczynie, na którym znajdowały się moje lody. Widocznie bardzo mu smakowało to jadło. Niemniej, musiałam szczerdzić, więc wiedziałam, że wieczorem należy je włożyć do wiadra w studni. Po umyciu uzębienia zdecydowałam się na przechadzkę.

Jako że rano okazał się pogodny i ciepły, udałam się z psinką w wędrowkę. Celem jej było bliższe zapoznanie się z jej krajobrazem. Wiedząc, że ojciec zawsze trzymał kompas w kieszeni spodni, nawet nie podjęłam się szukania osprzętu. Zwyczajnie spakowałam opakowanie kredy, które miałam w kurtce oraz wzięłam dla nas drugie śniadanie i udałam się do przodu. Po lewej stronie było wzgórze, a że było stromo, nie zamierzałam się tam dostawać. Poszłam więc w stronę strumyku, studni i ostatecznie lasu. Weszłam w głąb drzew, bor wydawał się ogromny. Nie chciałam się zgubić, więc już na początku poszukałam drzewa, które obrastał mech. Dzięki temu mniej więcej wiedziałam, gdzie jest południe, a gdzie północ. Swoją drogą już wcześniej po ściętym drzewie zauważyłam, gdzie co ma miejsce. Wiedza ta ma znacznie ułatwiać mi powroty do domu. Mimo to pozbierałam trochę patyków i tam, gdzie się dało, wbijałam je w ziemię co kilkanaście metrów, by potem podążając za nimi wrócić na znajome terytorium.



Szłam przed siebie nie prędko, lecz ociężale. Zawsze byłam dobra w orientacji przestrzennej, ale mimo to – tak na wszelki wypadek – chciałam zapamiętać jak najwięcej z otoczenia. Na niektórych drzewach rysowałam poziomą, białą kreskę. Po pewnym czasie usiadłam i zjadłam banana oraz napiłam się kubeczka herbaty. Po kilku minutach poszłam dalej i natrafiłam na błonę, przez którą nie dało się przejść. „Więc i tutaj ona jest? Zapewne otacza mnie zewsząd? Po cóż ona w ogóle istnieje?” – pytałam się z obawą o przyszłość. Dopiero po kilku minutach zaważyłam, iż w okolicy nie ma Miksa. Wołałam go, skoro jednak nie wrócił, to znaczy, iż nie chciał być przy mojej nodze. Skręciłam w lewo i podążałam wzdłuż tej membrany, zaznaczając patykami i kredą ścieżkę,

którą się przechadzałam. Nagle dojrzałam jakąś dziewczynkę z matką. Podejrzywałam takie ich pokrewieństwo, gdyż są bardzo podobne do siebie. Zaczęłam wołać, ale się nie odwróciły, więc jeszcze nieco wyrównałam do nich. Nie mogąc przejść na ich stronę, krzyczałam do jednej i drugiej, ale nawet nie drgnęły. Uświadomiłam sobie, iż one nie spojrzą się na mnie. Córka przez cały czas miała wyciągniętą rękę, której zadaniem było zerwać grzyba, a jednak nie ruszała się, nie zrywała go. Jej mać zaś wciąż oglądała wnętrze swojej torebki, ale była przy tym nieruchoma. Wyglądało to tak, jakby czas się im zatrzymał.

Gdy doszłam do siebie, zdecydowałam się kroczyć dalej. Podczas podróży zauważyłam borówki. Nie były one jednak czerwone. Z tego, co wiem, takie stają się pod koniec lata. Taka brusznica może być zbawienna jako dżem czy dodatek do sosów. Gdy spożyję trochę zawartości ze słoików, mogę zawekować w nich „lato”. Powrócę tutaj pod koniec ciepłej pory roku. Oznaczę drogę patykami, kredę zaś deszcz może zmyć; użyję jej mniej. „Jak dobrze, że od początku wybrałam dwa rodzaje znakowania” – pocieszałam się, gdyż czułam, iż znalazłam się w beznadziejnym położeniu.

Z przestrzeni pełnej przemyśleń wyciągnął mnie, ale nie na długo, obraz postury przypominającej człowieka. Po przejściu kilkudziesięciu metrów wiedziałam już, że to mężczyzna, który chyba wycinał chore drzewo w lesie. Miał w ręku siekiere, mimo to jedyne co dotąd zrobił z drzewem, to się na nie zamachnął, ale w trakcie utkwiał w bezruchu. „Co tam się wydarzyło? Koniec świata? Bomba? Skąd taki efekt?” – takowe pytania przez pewien czas nie dawały mi spokoju.

Przy studni spotkałam zaginionego. Przykucnęłam, a on przycupnął obok mnie, jakby chciał przeprosić za swawolę, do jakiej się dopuścił. Wyjęłam dwa jabłka i karmę dla pieska. Nakarmiłam go i sama zjadłam owoce, a ogryzki zakopałam w ziemi. Puskę z psim pożywieniem włożyłam do wiaderka, którego celem było przechowywanie przetworów. Wyjęłam zaś otwarty pasztet. Wypiłam do końca herbatę z termosu i wlałam do niego wodę z drugiego wiaderka. Mój druh napił się wody ze strumyka i wróciliśmy do naszego siedliska.

Już kilkanaście metrów od domku słychać było kurę. „Pewnie jest głodna” – wyjąkałam po dłuższym milczeniu. Chodziła sobie wte i wewte, a przy tym – wcale nie gorzej od koguta – piała

wniebogłoty. Poszłam po pszenicę, wzięłam jej garść i przechodząc przez łazienkę i suszarnię, dotarłam do pomieszczenia, które przeznaczyłam właśnie dla niej. Zobaczyłam kilka jajek, toteż delikatnie schowałam dwa do kieszeni i zaczęłam sypać strawą. Był ze mną pies, więc nie pokazywałam się jej, wiedziałam bowiem, że wcześniej czy później raz jeszcze tutaj zajrzy.

Dwa jajka zostawiłam w misce i udałam się z miednicą nad potok. Wodę przetransportowałam do domu, by ją nieco podgrzać z kawałkiem mydła. Wzięłam koszyk z ubraniami i przygotowałam drugi, by po praniu przenieść w nich ciuszki. Kiedy rozwieszałam moje szaty, żałowałam, że nie mam pralki. Pamiętam jeszcze, jak babcia Julki miała „Franię”, a ponieważ silnik po wielu latach uległ awarii, poczciwa pani Joasia prała w niej bez prądu. Potem wyżymaczką pozbywała się nadmiaru wody i przy okazji prasowała stroje. Gdybym gdzieś tutaj znalazła taki element ery komunistycznej, byłoby to dla mnie wielkim prezentem i wytchnieniem. Ciężko bowiem pierze się w samej misce. Wiesząc, muszę się nieźle natrudzić, by wyprostować każde odzienie. Inaczej będzie wyglądało jak psu z gardła wyjęte.

Po uporaniu się z moją garderobą wyglądałam, jakbym intensywnie pracowała przez połowę dnia. Czekało mnie jeszcze przyrządzenie obiadu i nie miałam czasu odpocząć. Na szczęście mama wzięła zestaw noży, a nawet obieraczkę, więc mogłam obrać kartofle. Jednakże pozbawiłam mundurka tylko jednego ziemniaka, tego dla psa. Trzy inne dobrze umyłam i zagotowałam w skórce, albowiem myślę, że tutaj nikt nie doprowadził do przenawożenia gleby. Zresztą pyry nie są niedojrzałe, więc jak zjem je raz na jakiś czas, nic mi nie będzie. „Kiedy to ostatnio jadłam ziemniaki?” – zapytałam samą siebie, lecz odpowiedzi nie znałam. Nie zajmowałam się dłużej deliberacją, wybrałam cięższą pracę. Zagotowałam jajka, które mi nieco popękały, ale po ostudzeniu i obraniu okazały się bardzo smaczne. Brakowało mi surówki, więc przemyłam liście sałaty i jadłam je osobno. Miksiak otrzymał ode mnie ziemniaczka zmieszanego z dwiema łyżeczkami pasztetu. Do tego zrobiłam z mandarynki herbatę i przelałam ją do pojemnika z termoizolacją. Obiad smakował nam tak bardzo, że pierwszy raz chętnie zastosowaliśmy się do godziny poobiedniej. Położyliśmy się na łóżku i poleżeliśmy. Zdawałam sobie sprawę, że już niedługo czeka nas piesza wycieczka po kamienie, a później – pokrzywę.

Gdy tak leżałam, myślałam o rodzinie, tej bliższej i dalszej, o koleżankach i kolegach z klasy, nauczycielach ze szkoły. Czy zdążę wrócić na Dzień Nauczyciela? Babunia wspomnianej znajomej

mówiła mi, że niegdyś ten dzień przypadał na 20 listopada, a teraz obchodzi się go 14 października. To nie tylko dzień samych nauczycieli, ale w ogóle pracowników oświaty. Czy ich kiedyś zobaczę? Jakże marzę, ażeby ponownie otrzymać równanie do rozwiązania na tablicy. Niedawno jeszcze bym się od tego uchylała, teraz jednak byłabym pierwszą chętną istotą, chyba ze wszystkich klas, która by tak mocno rwała się do tego zadania.

Zabrałam ze sobą banana, mandarynkę i poszłam w stronę ulicy. Zbierając stamtąd przeróżne kamienie, a potrzebowałam ich około pięciu, przyuważyłam interesującą mnie roślinę. Dziwne, że wcześniej jej tam nie widziałam. „Pewno to przez ten szok, jaki mnie tutaj spotkał, gdy chciałam iść w stronę stawu” – rzekłam i po chwili westchnęłam. Tak zajęłam się uważnym zrywaniem pokrzywy, tak przykładając uwagę, by się nie poparzyć, że nie zauważyłam zmieniającej się pogody. Bardzo, bardzo ciemne chmury nadchodziły, a ja podeszłam z psem bliżej otoczki, by jeszcze raz przekonać się, iż ona istnieje. Dzięki temu dostałam olśnienia: „U nas jest pochmurnie, a tam nadal pogodnie! Chmury omijają utworzoną barierę? Jak więc wygląda obieg wody w przyrodzie? Wszystko odbywa się na małym obszarze, na którym prowadzę ten mój marny żywot? To znaczy, że muszę przykładac dużą wagę do niezanieczyszczania przyrody”. W tym momencie podjęłam decyzję, że wszystkie odpady stworzone przez człowieka będę trzymała pod moim dachem. Wiedziałam przecież, że niebawem czekają mnie czerwone dni i coś z tym też należy zrobić. Foli, które rozkładają się przez ponad wiek, miałam dużo, nawet te plastikowe worki na śmieci, ale nie mogłam je wyrzucać, nikt po to by nie przyjechał.

Za domem, ściśle obrazując, w ziemi widziałam drzwi stalowe. Wracając do swoich rejonów, udaliśmy się do nich. Były zamknięte sznurem, na której był węzeł. Gdy już udało mi się go odwiązać, zobaczyłam schody prowadzące do dołu. Poszłam do domu po świeczkę, którą zapaliłam, przy okazji zostawiłam zbędne rzeczy, i stopień po stopniu zesłam. Przedemną stały regały, a na nich wiele podpisanych słoików pełnych jedzenia (w tym z różnymi miodami i zamarynowanymi cytrynami), pudełek pełnych przypraw i ziół, na których widniały różnorakie napisy (dziurawiec, szałwia, tymianek, ostryż, rumianek, jeżówka, lipa, krwawnik, mięta i prawoślaz, cynamon oraz koperek, podbiał...), drewniane puste beczki i sporo siana, a na końcu wiele pustego miejsca. Co jam pomyślała? Właściwie pierwiej to, że beczki posłużą mi na nieczystości, a dopiero potem o tym, iż mam wiele siana czy sporo słoików. W dodatku znalazłam też dodatkowe kołdry i prześcieradła oraz całe

cztery wory bodajże gęsich i kaczych piór. Od razu skojarzyło mi się to z poduszkami i ciepłymi, aż do przesady, kołdrami. Dobrze pamiętam, jak mama przywiozła takową ze wsi i po raz pierwszy pod taką spałam. Wskutek niskiego ciśnienia i spocenia się w czasie snu, raniem nie mogłam normalnie się przemieszczać. Czułam się osłabiona, zawroty głowy nie dawały mi spokoju. Ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Momentami nogi miałam jak z waty. Mamcia odwoziła mnie do szkoły i chciałam wysiąść... ale nie mogłam. To nie należy do przyjemnych wspomnień. Matula pobladła i wyglądała podobnie do mnie. Ruszyła do szpitala i nie dało jej się przemówić, iż to chwilowe, iż za moment przejdzie. Przejęła się mną do głębi. Czekwały mnie badania. Nie było już odwrotu. Po pierwszym badaniu ze sprzętem medycznym okazało się, że mam niskie ciśnienie. Po trzecim takim samym badaniu ciśnienie uległo zmianie, tym razem było normalne. Poczułam się już lepiej po poprzednim badaniu, ale teraz to już mogłam chodzić, a nawet biegać. Nigdy później mama nie mówiła, bym spała pod taką pierzyną.

Zebrane pokrzywy położyłam w pobliżu pieca. Następnego dnia planowałam położyć roślinkę na wielkim kamieniu przypominającym kawałek skały i na gałązkach ułożyć kamienie. Miałam nadzieję, że jutrzejszy dzień okaże się słoneczny. Bez słońca trudno zasuszyć roślinkę, a przecie muszę to wykonać. Jeśli się nie uda tego uczynić za pierwszym razem, to będę próbować w inne dni, aż do skutku. W formie suszonej muszę nagromadzić jej wiele, co najmniej na pół roku, jeśli nie na dłużej. Będę ją stosować, jeśli nie do picia, to do opłukiwania włosów. Po niej stają się bardziej miękkie i przyjemniejsze w dotyku. Wiem też, że do picia nie będę dużo jej potrzebowała, znalazłam bowiem trochę ziół, które mogę zaparzać do następnego lata. „Ile kolejnych lat czeka mnie tutaj? A może już jesień da mi na tyle w kość, że się pochoruję i umrę? Co wtedy będzie z moim wspianym i jedynym towarzyszem?” – co jakiś czas ogarniały mnie czarne wizje, ale starałam się je odganiać od siebie i myśleć pozytywnie, ponieważ tylko tak mogłam stawić czoła napotkanym realiom.

Na podwieczorek dałam Miksiowi tylko jednego kabanosa, notabene niewiele ich już zostało, a sama zjadłam ostatniego, zresztą bardzo dojrzałego, banana i trzy mandarynki. Pozostało mi jedynie ich pięć, więc musiałam liczyć się z każdą sztuką. Do tego przedtem wykopałam z ogródka marchewkę, więc po myciu i ją spałaszowałam. Po posiłku zajęłam się nauką, tylko ona i noszone przeze mnie odzienie łączyły mnie z dawnym światem. Pilnie studiowałam atlas przyrodniczy, zwłaszcza tematy o roślinach. Szukałam w nich więcej informacji o ziołach, które znalazłam w piwnicy

i roślinach żyjących w lesie. Niestety, tylko o niektórych z nich zdołałam się dowiedzieć czegoś więcej. „Cóż, z pozostałymi przyjdzie mi eksperymentować” – ni stąd, ni zowąd oznajmiłam kamratowi. Tenże pyszczek, który tak często mnie obwąchiwał, tym razem nawet się nie poruszył, nadal leniwie spoczywał na psich łapkach. Za to z zainteresowaniem ruszały się uszy zwierzęcia, jakby nasłuchiwały czy komunikuję mu coś ważnego. Tymi nowościami, aberracją w zachowaniu pupila, niebywale się zainteresowałam. Podeszłam do niego bliżej i pogłaskałam, prosząc go, żeby wstał... ale on nie drgnął. Podeszłam do drzwi wyjściowych, lecz psiak w dalszym ciągu był w tej samej pozie. Nie ulegało wątpliwości, że chce odpocząć, więc wyjąkałam pod nosem „oby tylko nie wybierał się na wieczny spoczynek”.

Na kolację przygotowałam wyzerkę dla mojego jedyne go pieska, jakiego miałam w swym życiu. Zmieszałam mokrą jego strawę ze suchą, tą pełną witamin, i dodatkowo z łyżeczką pasztetu. Sama zaś zjadłam chleb z pasztetem i resztkami kiełek z rzodkiewki. Zawołałam psiaka, ten powoli przybył do kuchni i popatrzył się na dwie miski. W drugiej miał wodę, i to od niej zaczął śniadanie. Chlipał bardzo gromko. Widocznie bardzo mu się chciało pić. Dlaczego jam nie pomyślała o tym wcześniej? To pranie tyle kosztowało mnie zainteresowania i sił, iż całkowicie o tym zapomniałam. Wypił wszystko i dałam mu dokładkę. Kiedy już skończył, wlałam mu jeszcze raz wodę, ale zajął się już miską z jedzeniem. Nie zostawił nawet kęsa, a gdy do niego podeszłam, zaczął cieszyć się, o czym świadczyło merdanie ogonem, a ja – nie ukrywam – radowałam się razem z nim. Obiecałam mu, że już nigdy nie zapomnę wlać mu wody, a jutro, jeśli tylko nie będzie deszczowo, pójdę z nim porzucac patyki.

Wstałam z bólem brzucha. Dawno nie czułam, jak to jest. Wiedziałam, co się zbliża. Na szczęście miałam nie tylko zestaw mojej mamy, ale i własny, który mógł starczyć mi do grudnia. Miałam też sporo waty, okładów i bandaży, a do tego w samochodzie powinna być apteczka ratunkowa. „Ciekawe czy ojciec zamknął drzwi, bo że kluczyków nigdy nie zostawia w moim zasięgu, to wiem od dawna. Iść więc czy nie?” – debatowałam głośno przy obmywaniu swojego ciała. Oczywiście najpierw umyłam głowę, a później resztę i robiłam to automatycznie, niezależnie od tego, czy jakiś problem mnie wówczas pochłaniał, czy żyłam chwilą obecną. „Pójdę po śniadaniu!” – zdecydowałam stanowczo.

Przemyślałam się i spróbowałam napoju herbacianego, ponieważ od samej jutrzemki czułam pragnienie. „Najwidoczniej właśnie tak czuł się minionego dnia mój druh” – bąknęłam pod nosem, a już po chwili przemyślałam własny żywot. Nie trwało to krótko. Całkowicie zapomniałam o śniadaniu, poddałam się chandrze. Handryczyłam się z własną osobą. Miałam sobie za złe, iż się tu znalazłam i jestem zbyt mało odpowiedzialna, by opiekować się zwierzętami. „A właśnie! Pies i kura!” – przypomniałam sobie.

Pierwszy posiłek w tymże słonecznym dniu zrobiłam nie tyle dla siebie, ile dla tych, których los zależał ode mnie. Rzecz jasna i sobie przyrządziłam danie, ale gdyby nie obowiązki, zapomniałabym o jedzeniu. Kłuałam się myślami, które wydawały się różami z kolcami. Moje rany nie były widoczne, lecz ukryte pod uśmiechem ukazywanym mojemu koledze i nowej koleżance. „Czemuż tu jestem! Dlaczego mnie to spotkało? Co to w ogóle ma znaczyć?” – wrzeszczałam rozpaczliwie, nikt jednak nie mógł mi pomóc zrozumieć powodów, dla których się tu znalazłam sama na tak długo.

To był jeden z najtrudniejszych momentów, jakie dotąd mnie spotkały. Tkwiłam w zawieszaniu. Najlepiej niczego bym nie dotykała i nic bym nie robiła. Mogłabym leżeć lub siedzieć, lub po prostu spacerować bez celu. A przecież miałam niemało do zrobienia. Czekają na przykład suszenie pokrzywy, przyniesienie więcej wody i wzmożone dbanie o higienę. Tak, przyszło mi teraz się myć również przed pójściem spać. Nie to, żebym nie lubiła wody, ale dźwiganie jej nie należy do przyjemności. W domu odkręciłabym prysznic albo, w najgorszym razie, nalałabym do garnków i czajników zimną wodę z kranu i ją zagotowała, a potem wlała do wanny. Tutaj jednak było to niemożliwe. Musiałam więc dbać o siebie w inny sposób. Poza tym w ubikacji, która znajduje się poza domem, miałam zamiar zostawić garnek wody z pokrywką i chodzić tam z małym naczyniem. Dzięki temu udałoby mi się obmyć intymne miejsca przy każdej wizycie w ustępie. „To taki pierwowzór bidetu. Lepsze to niż nic” – pocieszałam się, jak tylko umiałam. Co prawda zimną wodę byłoby skazany na klęskę, należałoby go trochę zmodyfikować, ale mieliśmy pierwszy dzień lipca, zatem mogłam go doprowadzić do realizacji.

Mimo niesprzyjającego mi samopoczucia wszystko szło jak po maśle. Wiele rzeczy udało się wykonać tak, jak to sobie wyobrażałam. Pokrzywy już po podwieczorku były znacznie przesuszone. Zabrałam je na noc do suszarni, by następnego dnia ponownie je suszyć. Zastanawiałam się, jaka

panowała temperatura powietrza, acz nie zgadłam. Na moje szczęście tatuś nie zamknął czterokołowca na amen i udało mi się zobaczyć, co w nim jest i co warto z niego wziąć. Od razu rzucił mi się w oczy termometr pokojowy. Wskazywał na 27 st. C. Trzeba pamiętać, iż wóz stał w półcieniu, a okna – oprócz jednego – były pozamykane, zatem odczyt mógł trochę odbiegać od stanu faktycznego. W samochodzie zostawiłam apteczkę i koszyczek wielkanocny, który służył też do zbierania grzybów, ale za to wzięłam pakę cukru, patelnię i dwie z pięciu butelek oliwy z oliwek, a do tego gaśnicę. Jednej data ważności dobiegała już końca, ale druga była dwa tygodnie temu nabyta, zatem spokojnie ją wzięłam. Poza tym znajdował się w nim worek orzechów włoskich w skorupce, a w torbie leżącej obok – „dziadek do orzechów” i otwieracz do puszek, a ponadto korkociąg i butelka francuskiego wina. To pewnie na urodziny mamy, która w połowie lipca kończy urodziny. W pudle zaś było multum pieczywa lekkiego, którym tak bardzo zajada się mama, a i tata z chęcią po nie sięga. „Teraz jednak ich tu nie ma, a ja muszę mieć co jeść, zatem gdy się skończy w domu, przyjdę po nie tutaj” – błyskawicznie wywnioskowałam. W innym pojemniku, o wiele mniejszym, były gumy do żucia oraz srebrne torebeczki z suszonymi owocami, z których robi się kompot i kilka butelek soków, na przykład jabłkowo-marchewkowe, śliwkowe, poziomkowe i z czarnej porzeczki, a prócz tego jeszcze paczki herbatników oraz trzy opakowania makaronu i pięć kilogramów mąki pszennej, którą nie myślałam tu zostawiać. W ostatnim małym pudełeczku były jeszcze trzy spore paczuszki kabanosów i dziesięć paczek saszetek dla psa, w jednym takim pakiecie mieściło się pięć opakowań. W sumie więc było pięćdziesiąt dań. Poza tym luzem była jedna duża paka suchej karmy, ale nie planowałam jej teraz dźwigać. „Jak będzie trzeba, to ją przeniosę. Dzisiaj jednak takiej potrzeby nie ma” – rzekłam do druha i dodałam – „Saszetek też nie biorę, na razie mamy wiele puszek”.

W tej chwili już wiedziałam, że nie muszę się martwić o pożywienie, bynajmniej nie przez najbliższy rok. Choćby i zima mnie tu zastała, głód mi już nie straszny. Mniej jeść nie oznacza gorszego się odżywiania. Pozostanie mi do rozwiązania jeszcze nie jedno, ale wiele zagadnień, lecz już nie to, a to powoduje, iż taki człowiek jak ja staje się kontent. Raczyłam więc podzielić się radością z moim przyjacielem. Porzucałam sobie kijem i biegałam po niego wspólnie z Miksiem, niemniej jednak – jak łatwo się domyślić – nie miałam szans wygrać z czworonogiem.

Wieczór upłynął mi pod znakiem zabawy. Psinkę ociupinkę wykończyły biegi, mnie zaś mocno



dały we znaki. Mimo to nie zamierzałam odpoczywać. W krótkim czasie po zabiegach higienicznych wyjęłam z kieszeni kurtki taty piłeczkę pieska – wiedziałam, że tam ją chowa, ale dopiero teraz przypomniałam sobie o niej – i rzucałam nią w pyszczek, a ten ją łapał i wyrzucał do mnie. To była dla niego przednia zabawa,

a przecież i ja nie miałam nic lepszego do roboty. Na koniec opisałam ostatni dzień w pamiętniku i ułożyłam się do snu. Przez pewien czas nie mogłam usnąć, ale wreszcie mi się to udało.

Jutrzienka przyniosła mi rozkosz. Promienie słoneczne rozświetliły nie tylko moją izbę, lecz także moją duszę. Spodobała mi się gra cieni, a poza tym cieszyło mnie to, iż odbywa się ona wczesnym rankiem. Nigdy nie przypuszczałam, że to może stanowić rozrywkę. Przypominali mi się moi rodzice, którzy wieczorami, przy pomocy latarki, oświetlali ścianę i tworzyli rękoma różne postacie, szczególnie zwierzęta.

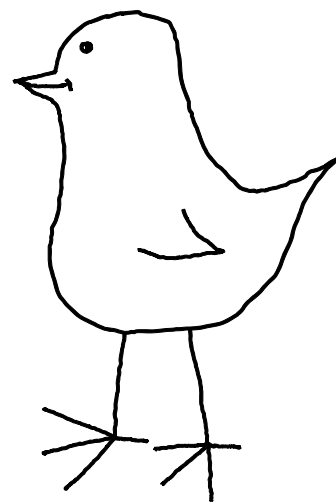
Początek dnia zwiastował następne radosne wydarzenie.

Wielce uradowana byłam, iż kura, którą przygarnęłam, ma teraz pod swoimi skrzydełkami kurczę. To piękny widok, a ja żałowałam, iż nie zostawiono mi aparatu fotograficznego. Jedyne co mogłam zrobić to zapisać to wydarzenie w pamiętniku, a że nie była ze mnie najlepsza pisarka, wyszło mi to, jak wyszło i nic na to nie mogłam poradzić.

Potem wysiliłam się jeszcze na narysowanie tego małego stworzenia, obawiam się jednak, iż wyszło mi to co najmniej nie najlepiej, by nie powiedzieć – fatalnie. Nic nie poradzę, że nie urodziłam się z iskrą

bożą, pewnie taki esprit ma ktoś mieszkający w okolicy dawnego domu, uczęszczający w roku szkolnym do tej samej szkoły co ja lub posyłający tam swoją dziecinę.

Ktoś musi być pozbawiony talentu, by ktoś go miał i nie zmienić tego. Mogę się jedynie z tym pogodzić, inaczej kompleksy doprowadzą mnie jeno na samo dno. Nie miałam ochoty na to, nie chciałam zepsuć sobie nastroju. „Dosyć miałam smutków. Czas w końcu zacząć żyć, choćby po swojemu” - mówiłam do psinki.





Kolejne pięć dni wyglądały podobnie, chociaż każdy różnił się ociupinę od siebie (jednego dnia znalazłam w lesie jagody, drugiego pozbierałam maliny, trzeciego na swej drodze spotkałam zająca, czwartego ujrzałam pięknego motyla...). Ostatni z nich to były imieniny miesiąca, lecz spędziłam je całkiem zwyczajnie. Przystałam rozpaczliwie prosić Stworzyciela o pomoc, a jedynie co wieczór spokojnie zwierzałam się Bytowi z moich obaw i pragnień oraz dziękowałam mu za podarowanie mi życia, dzięki któremu mogę nabyć sporo wiedzy i doświadczenia. Wcześniej nie omieszkałam się na niego gniewać, ale zrozumiałam, że to nie tędy droga. To tylko przeszkadza w pojmowaniu celu istnienia przeciwności.

Ósmy dzień siódmego miesiąca to był istny upał. Ciepłomierz w domu pokazywał 30 st. C., więc w słońcu musiało być znacznie więcej. Krótko mówiąc, wstąpił we mnie leń, acz nie było mi dane wylegiwać się na tapczanie i bąki zbijać. Wszak miałam plany, które musiałam wcielić w życie. Świadomość zobowiązania wobec innych istnień nie dawała mi szansy na dłuższy odpoczynek. Mogłam jednego dnia nabrać więcej wody i przygotować więcej do jedzenia, ale nie mogłam ich nie karmić i nie opiekować się nimi. Poza tym od czasu do czasu musiałam umyć psiaczka, zwłaszcza po jego ekscesach na deszczu. Szkoda, że nie miałam ani deszczochronu, ani parasola. Ten pierwszy by chronił mojego kompana przed opadami, a ten drugi mnie przed promieniami słonecznymi, gdyż nawet one w nadmiarze bywają szkodliwe.

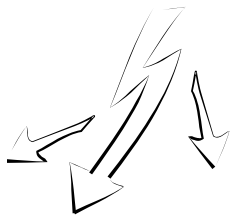
Mijał dzień po dniu. Piętnastego lipca, pięknego wtorkowego ranka, obudziłam się z myślą o mamie. To miał być jej dzień. Urodzinowy obiad zjadłam jednak sama, bez jej obecności. Brak jej był dla mnie trudnym przeżyciem. Próbowałam przypominać sobie jej wygląd i spokojnie mi się to udawało. Nie wiedziałam jednak czy tak będzie zawsze. Gdy już wszystkie zadania tego dnia wykonałam, do kolacji przystąpiłam z butelką wina. Wiem, wiem, pełnoletni nie powinni brać się za takie trunki. Cóż, chciałam się przekonać czy Ania faktycznie mogła przypadkiem spić Dianę. Gdy jednak poczułam, że grunt zaczyna mi się przemieszczać pod nogami,



zaprzestałam kosztowania drogiego napoju wysokowego. Po prostu w obawie przed pożarem zgasiłam świecę i położyłam się do wyrka, wcześniej jednak prosiłam Króla Niebios o wszystko, co dobre dla mojej kochanej maci.

Z jakimże bólem głowy się wybudziłam w środku nocy! Tego nie da się w prosty sposób opisać. Żałowałam już, że zdobyłam się na otworzenie i wypróbowanie tego alkoholu. „Jak Jezus mógł polecać wino?” – zadawałam sobie wtenczas pytanie, ale nie doszłam do żadnej sensownej odpowiedzi. Po pewnym czasie powtórnie znalazłam się w objęciach Morfeusza i do świtania miałam spokój.

Wschód słońca przespałam, a powodem tego pewnie był inny niż zazwyczaj wieczór. Za daleko się posunęłam, ale na ubolewanie było już za późno. „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem” – wyraziłam swą opinię Miksiowi i zabrałam się do ogarnięcia siebie. Czynności te wykonywałam szybko i sprawnie, od tego bowiem zależało czy piesek i kura ze swoim maleństwem nie będą głodować. Rzecz jasna z niektórych spraw musiałam zrezygnować, ale najważniejsze wykonałam. Rezygnacja z zabaw jest nieunikniona, kiedy się coś zawaliło i trzeba nadgonić zadania niecierpiące zwłoki. Atoli kac to okrutny objaw bezmyślności.

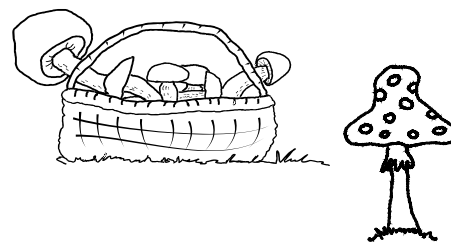


Pod koniec lipca zaczęła się pora burzowa. Nie ukrywam, mocno się bałam trzaskających piorunów. Może i coś w tej pogodzie jest, że ludzie ryzykują i wychodzą na zewnątrz, żeby fotografować czy filmować to zjawisko, aczkolwiek mnie nigdy do tego nie ciągnęło, dla mnie to żadna frajda ryzykować życiem. Pochmurne dni szybciej dobiegały końca, przez co od południa było mi śpieszno do wykonywania powszednich działań. Nie byłam przecież gotowa całkowicie się zrzec z uciech, które mi pozostały. Dlatego starałam się tak czynić, by ukończyć ostatnią pracę zaraz po obiedzie, a wieczorami w spokoju popijałam kolację kompotem z czereśni. Po pierwszym tygodniu lipca zerwałam wiele czereśni (dzięki drabinie, która stała przy strychu) i wraz z cukrem włożyłam je do umytych i sparzonych parą słoików po zużytych sosach. Po tym zabiegu zawekowałam je, a skoro odstały już nieco, otworzyłam, by spróbować. Jeden słoik starczał na długo, ale pierwsze dwa musiałam mniej rozcieńczać, chciałam je zużyć szybciej, by nie chodzić do studni. Pijałam więc wyłącznie kompot, smakował mi zarówno

zimny, jak i ciepły zaraz po przygotowaniu czy z termosu. Psiakowi zaś pozostawała jeno woda, ale on niczego innego by i tak nie ruszył. Za to dzieliłam się z nim pożywieniem, przykładowo gołąbkami, które były w słoikach. Do każdego włożono po trzy sztuki, więc na mnie przypadały dwa, a na niego jeden. Wraz z suchą karmą najadał się tak, że potem przez godzinę był wielce ociężały. Ja zaś wykorzystywałam, iż jest w nich sos i polewałam nim ugotowany makaron czy ryż. Raz nawet z kurzego jajka, które podwędziłam istotce, gdy ta nie widziała, i mąki sama wykonałam makaron i muszę przyznać, że wraz z ziołami, które włożyłam do ciasta, kluski były lepsze niż te kupne, chociaż było ich mało. Czuć też było, że za dużo dałam białego składnika, a za mało żółtego, lecz nic nie mogłam poradzić na deficyt jaj.

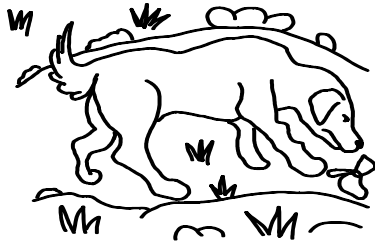
Początek sierpnia zaskoczył mnie ładną pogodą. „Czyżby pogoda wiedziała, iż dzisiaj pierwsza doba nowego miesiąca?” – zastanawiałam się przez chwilę. Skoro dni i wieczory były pogodne, można było powrócić do spokojnego korzystania z uroków kanikuł. Upały nie zapomniały o tym miejscu i dzięki temu mogłam ususzyć kolejną partię roślinek. Tęskniłam za powolnym przechadzaniem się tu i ówdzie. Sprawdziłam czy niedostrzegalne okiem obramowanie nadal się znajduje tam, gdzie było wcześniej. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, iż niknęło, jednakowoż nic z tego. Nie zaobserwowałam zmian ni to na lepsze, ni to na gorsze. Tkwiłam tam, gdzie pod koniec czerwca i nic tego nie zmieniło, żadne moje prośby, błagania i gniewy na Przedwiecznego. „Dlaczego to stworzył? Czy mógłby zastąpić to tym, co było wcześniej? Czy Wszechwiedzący znał moje skryte marzenia?” – te wszystkie wypowiedane pytania tak naprawdę były dla mnie nieistotne, podobnie jak poszukiwanie na nie odpowiedzi. Wprzódę przyjęłam, że to ma mnie czegoś nauczyć i uczy, a to przecież atut tego nietuzinkowego przypadku. „Życie doczesne udziela nam niezłej lekcji” – wyznałam ogoniastej kreacji.

W lesie pojawił się pierwszy wysyp grzybów, pewnie to za sprawą świeżo minionego deszczu. Nie omieszkłam pozbierać prawdziwki i borowiki. Tych drugich było znacznie więcej. Na patelni w trzech łyżeczkach oliwy z oliwek podsmażyłam grzybki (pierwszy raz użyłam tego naczynia, które trzymałam za rączkę nieco nad ogniem w rękawicze wykonanej ze szmaty). Potem przełożyłam je do garnka i ugotowałam zupę. Pozostawałam świadoma, iż zważywszy na ciężkostrawność grzybów,



w moim wieku nie są one najlepszym pomysłem, jednakże miałam ochotę spróbować. Okazało się później, że zupa mi zasmakowała i – zagotowując ją za każdym razem – zjadłam wszystko w dwa dni. Los musiał się do mnie uśmiechnąć, skoro nie odczułam większych problemów z trawieniem. Raz się przebudziłam w nocy, ale ponownie szybko usnęłam.

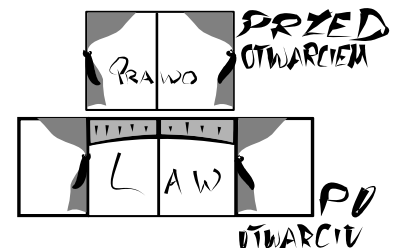
W następane dni doczytywałam powieść Kinga, aż miałam do siebie pretensje, że moja przygoda związana z klaunem dobiegła końca. „Mogłam robić większe przerwy, a wtedy miałabym jeszcze wiele



stronic do poznania. Tymczasem nie pozostała w książce ani jedna strona, której bym już nie znała” – żaliłam się głośno i ubolewałam, ale co mogłam począć? Należało się pogodzić i prowadzić dalszy żywot dorastającej dziewczyny. Wymyśliłam tak sobie, jak i Miksiowi nową rozrywkę. Przyjemność polegała na tym, iż do cienkiego

sznurka, który leżał na podłodze suszarni, przywiązałam skarpetkę nieco wypełnioną ziemią. A potem nożem uciąłam linkę przy właśnie stworzonym woreczku. Na trawie rzucałam mu woreczek, a on miał za zadanie go przynieść i wrzucić do naczynia, które znajdowało się przy mnie. Obserwując jego zadowolenie, samej było mi różniej.

Dzięki słownikom poszerzałam swój zasób słów. Z nudów także napisałam dwie nowele, lecz nie są one na tyle dobre, by oficjalnie je takimi nazwać. Pod osłoną nocy wydawało mi się, iż widzę jakieś olbrzymie zwierzęta, toteż wolałam pozostawać w domu. Nie wcześniej niż o świcie zdobywałam się na wyjście spod



dachu. Późne godziny spędzałam przy świeczce i albo rysowałam, albo się uczyłam, albo pisałam. Rodzice mieli wziąć ze sobą gry planszowe i karciane, ale niczego takiego nie znalazłam, a jeśli nawet o nich nie zapomnieli, to nie miałabym z kim w nie zagrać. Przecież takie psie czy inne zwierzę nie jest dobrym graczem, dlatego że nie jest w stanie zrozumieć podstawowych zasad takiej zabawy. Wiedząc o tym, nie szukałam gier i kart. Znajdowałam własne sposoby na ciekawą naukę. Przykładem może być tabelka z polskimi wyrazami, przy których wpisywałam angielskie odpowiedniki. Wykonałam też z dwóch kartek pola okienek podpisanych polskimi słowami i np. kiedy otwierałam okienko ze słowem „prawo”, widoczne było „law”, a gdy decydowałam się otworzyć „wyolbrzymiać” moim oczom

ukazywało się „exaggerate”.

Następne doby upływały mi szybko. Z wypranych ścierek wykonałam namiot dla siebie i pieseczka, który w południe chronił przed nadmiernym światłem słonecznym. Dodatkowo umieściłam patyk, który był moim gnomonem. Monotonność dnia powszedniego zmieniła się w aktywność konstrukcyjną, postanowiłam bowiem stworzyć psu szałas. Pierwsze próby okazały się nieudane, lecz ostatecznie koliba powstała. Nie należała do wspaniałych budowli, jednakże mnie osobiście się podobała i widocznie też psu, albowiem lubił tam przebywać, gdy poszukiwał nieco samotności. Mnie słowo „sama” dobijało, a jemu bycie samemu bywało potrzebne do odprężenia się przed następnymi wędrówkami.

W ostatnim tygodniu sierpnia udaliśmy się do lasu. Zebrałam w nim jagody i jeżyny, którymi zajadałam się przez kolejne trzy dni. Przedostatni dzień sierpnia spędziłam na rozważaniach o szkole.
- Pewnie bym teraz szykowałam się do szkoły – rzekłam do pieska i zapytałam – A ty wiesz, co byś robił?

Spojrzał na mnie tak, jakby wszystko było mu obojętne.

- Nie wiesz? Ja też nie. Wiem jednak, co byś robił pierwszego dnia szkoły. Wieczorem, gdy przyszłoby mi się pakować, położyłbyś pyszczek na moim plecaku. A wiesz po co, byś to zrobił?

Tym razem tylko podniósł uszy.

- Bym się z tobą bawiła, zamiast zajmować się jakimiś tam rzeczami. I merdałbyś przy tym ogonem. Tak, robisz to na samą myśl o zabawie. Pokazujesz wtedy swoje zadowolenie. Odwrotnie jest z kotami, które poruszają nim, by wyrazić swoje niezadowolenie i... - przerwałam swój wywód, gdyż wydał mi się bezsensowny.

W porze wieczoru napisałam list do Dobrego Pasterza:

Kochany Boże,

kto inny mi pomoże, jeśli nie Pan Wszechrzeczy? Wyłącznie do Ciebie mogę się zwrócić z taką prośbą. Moje ostatnie miesiące mają się nijak do mojego poprzedniego życia, życia z moimi rodzicami, za których bardzo, bardzo mi brakuje.

Oczywiście często marudziłam na tamten żywot. Byłam zdania, iż mam za wiele obowiązków szkolnych i domowych, lecz teraz, po tylu przeżyciach wiem – myliłam się w wielu kwestiach. Ty to sprawiłeś, żebym mogła wyciągnąć wnioski z moim błędów i zmienić się na lepsze. Mogłam też za to

wszystko czuć nienawiść do Ciebie i stać się gorsza, chociażby zabić zajączka, którego widziałam koło lasu, polować na pięknego motyla lecącego do kwiatka, zrobić krzywdę jeżowi czy wiewiórce, która wpadła w potrzask, a nawet konikowi polnemu, którego trzymałam w rękach. Jako że głodna nie byłam, nie zraniłam żadnej żywej istoty. Czułam ze zwierzętami jakąś wspólną więź. Wiedziałam, że wszystko w naturze jest od siebie zależne, współistnieje i należy o wszystko należycie zadbać, by nikomu, w tym mnie i psu, nic się złego nie stało. To Ty Stworzycielu Niebios mnie tegoż nauczyłeś, a raczej dałeś mi szansę samej do tego dojść.

Skoro już tyle wiem, proszę Cię, czy nie mogłabym wrócić do swojego dawnego, choć o wiele bogatszego żywota? Głębokie doświadczenia z pewnością zaważą na mojej przyszłości i możesz być już spokojny o mnie i ludzi, z którymi będę mieć kontakt. Nie przyczynię się do wyrządzenia im krzywdy. Będę dbać i o przyrodę, i o wnętrza znajomych. Nie będę więcej obiecywała rzeczy, których nie jestem pewna, iż zrealizuję. Liczyć będę jedynie na siebie, ale inni będą mogli liczyć na mnie. To my – żyjący na świecie kształcimy wyobrażenie o nim. Mamy wpływ na to, jaki on jest, toteż zmieniając świat, zacznę od siebie. Tylko daj mi teraz możliwość to udowodnić. Wieleż bym dała, iżby ten mozół już się skończył.

Z wyrazami szacunku
odnaleziony duch

Poranek minął mi nie tylko na domowej działalności, ale również na zakopaniu listu. W trakcie wykopywania dołka słyszałam kukanie i przyszła myśl, że widocznie gdzieś w okolicy bytuje kukułka. Wtenczas liczyłam na przyjemność dla uszu, choć szumiały knieje. Dziwne, ale atmosfera wokół zachęciła mnie do sportu. Truchtałam sobie aż do domu, a piesek był raz za mną, raz obok, a raz przede mną. „To cudne stworzonko” – pomyślałam i się uśmiechnęłam, gdy przekraczałam próg domu.

Kiedy wkroczyłam do środka, bez zastanowienia udałam się do kuchni. Chciałam bowiem przyrządzić śniadanie. Jednakże zaciekało mnie szczekanie mojego towarzysza, który drapał w zamknięte wrota izby, która miała być przeznaczona dla moich rodziców. „Cóż, widocznie Miksiak ma ochotę położyć się na większym łóżku” – szybko pomyślałam i udałam się, by otworzyć mu drzwi. Gdy jednak uchyliłam je, oniemiałam z zachwytu. Nim jednak trysnęłam entuzjazmem, przetarłam oczy ze zdumienia. Pies wskoczył między moją mamę a tatę i zaczął ich wybudzać. Za chwilę sama byłam już pomiędzy nimi i z uśmiechem od ucha do ucha pytałam się, gdzie byli.

- Nad stawem spotkała nas ulewa i burza, więc schroniliśmy się w tamtejszej gospodzie – rzekł ojciec.
- Tak długo? Co wy tam robiliście? Co można robić przez tyle czasu? Wiecie, co ja tutaj przeżywałam?
- pytałam bez żadnego wdechu.
- Jak długo? Przecież to tylko noc, a ty już jesteś niemalą dziewczynką, prawda? – stwierdziła mama.
- Coś czuję, że naszej córeczce włączyła się opiekuńczość – wyznał zadowolony tata.

- Tato, to nie jest śmieszne – rzekłam z nachmurzoną twarzą i dodałam – Mamo, przyjechaliśmy tutaj 27 czerwca, a dzisiaj jest ostatni dzień sierpnia, zatem proszę, nie mów mi o jednej nocy czy dniu.
- Skarbie, dobrze się czujesz? Wróciliśmy dzisiaj o świcie, nie spaliśmy całą noc, bo martwiliśmy się o Ciebie – mówiła mać – Widzę jednak, że mieliśmy rację, nie najlepiej wyglądasz.

Zaskoczona słowami rodzicielki darowałam sobie dalsze wyjaśnianie sprawy. Najwyraźniej nie zechcą mi uwierzyć. Wyznałam tylko, iż chce wrócić do domu. Dziwili się, albowiem – jak to mówili – wakacje dopiero się zaczęły, więc powinnam zechcieć korzystać z uroku lata, lecz ja rzekłam tylko, iż tak czy siak, niebawem spadną żółędzie, kasztany i kolorowe liście.

Postawiłam na swoim i rodzice zaczęli mnie pakować. Siebie zbytnio nie pakowali, gdyż mamcia zostawała, a tata planował tu powrócić. Miałam zostać w domu pod opieką cioci – siostry ojca, choć nie byli przekonani, że się zgodzi. Mniejsza z tym, dla mnie ważne było zobaczyć znajome rejony, budynek szkoły, kolegów i koleżanki czy też sąsiadów. Pakując moje rzeczy do auta, z łatwością zauważyli, że brakuje wiele pożywienia, w tym butelki wina. Sprawdzili swoje torby pozostawione przed wyprawą nad staw i tam też zauważyli braki. Byli zdumieni, iż można tyle zjeść w jeden, i to niecały dzień. Niemniej dziwowali się zjedzonymi puszkami przez Miksa. Cóż, nie wiem, co sobie pomyśleli, ale chyba nie brali moich słów na poważnie, choć mówiłam tylko prawdę.

Był ze mnie człowiek gotów w lot, zatem jako pierwsza zasiadłam na fotelu samochodu po ojczulka zdaniu: „Komu śpieszno, niech rychło wsiada”. Zauważył to, a dał mi o tym znać swoim uśmiechem. Piesek chciał jechać ze mną i nie dało się go zatrzymać, tym bardziej że interweniowałam i prosiłam, by mógł wrócić do domu. Wsiedliśmy i ruszyliśmy, zostawiając mamę. Ostatni raz nasyciłam widokiem pagórka swój wzrok i odwróciłam się w stronę wiernego przyjaciela, który już nigdy, tak długo, jak żyje, mnie nie opuści i nigdy nie zostanie przeze mnie porzucony.

